

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

BOCIAN i ŻABY.

Gwarzą sobie żabki,
Jedna drugiej rada:
— Jakże się masz, kumciu?
— Ach! witam sąsiada,
Cóż słyszeć nowego?
— Ano, wiosna przecie,
Zbudziło się słonko,
Zielono na świecie.
— Powiedźcie mi, proszę,
Sąsiedzie kochany,
Czy już powróciły
Z za morza bociany?
Gdy o nich pomyślę,
Wnet umieram z trwogi.
— Oj, niestety kumciu,
Są już naze wrogowie!
— Trzeba, mój sąsiedzie,
Mieć się na baczności,
Pilnować czy bociek
W pobliżu nie gości.
— Trzeba, moja kumciu,
Porozstawiać strażę,
Tak każe rozsądek,
Tak przezorność każe!
Jutro do roboty
Weźmiemy się żwawo.
Ruszymy na zwiady
I w lewo i prawo,
Czuje ponad bagnem
Rozstawimy warty,
Pozna wtedy bocik,
Że z nami nie żarty!
Gwarzą sobie żabki,
Snując piękne plany,

Aż tu cicho, zwolna,
Niby zadumany,
Niby nawpół senny,
Stary bocian kroczy,
Jeno dziób naostrzył
I wytężył oczy.

Gwarzą sobie żabki,
Nie dostrzegły wroga!
Nagle — krzyk się rozległ —
— Ratuj, kumciu droga,
Ginę! — I ja ginę,
Mój sąsiedzie! Rety! —
Krzyknie biedna kumcia...

Za późno, niestety!
Na nic się nie zdaly
Rozprawy, zamiary,
Nieroztropne żabki
Połknął bocian stary.

Marya Dynowska.



Z życia Jasia.

(Ciąg dalszy.)

— No przyprowadzam panu wreszcie kogoś, kto panu może powiedzieć coś pewnego o Drzewińskim — rzekł kapitan po przywitaniu i przedstawieniu nieznanego, jako pana Osińskiego.

Pan Kaliński był tak wzruszony, że nie mógł przemówić ani słowa.

Nieznajomy był Polakiem, lat wiele przebył w Ameryce i poznał tam wielu współziomków.

Zaczął on opowiadać, że przed kilku laty nabył kawał ziemi na pustych obszarach Ameryki.

— Było nas tam kilkunastu osadników — mówił — ale mieszkaliśmy daleko jeden od drugiego. Rok temu pojechawszy do najbliższego miasteczka, a raczej osady po kupno jakichś narzędzi rolniczych, spotkałem się z pewnym osadnikiem, który mi się przedstawił jako Drzewiński. Rozmawialiśmy wiele o kraju, o którym z utęsknieniem wspominał.

Zapytałem go, dla czego wyjechał? Odpowiedział mi, że pragnął zebrać majątek. Ale to nie tak łatwo, jak sobie wyobrażałem — dokończył z westchnieniem, teraz nie wiem, kiedy wrócę do kraju, a zostawiłem tam syna. Widząc jego smutek, nie wypytywałem go więcej i nie wiem nawet z jakich stron pochodził.

Pan Kaliński słuchał tego opowiadania z wielkiem wzruszeniem, a gdy mówiący przerwał na chwilę, zawołał niecierpliwie:

— I cóż dalej?

— Było to pierwsze i ostatnie spotkanie moje z tym człowiekiem — odpowiedział pan Osiński — więcej go już nie widziałem. Nie mogę twierdzić, czy żyje lub nie, już blisko rok dobiega, jak go spotkałem.

— A czy pan wraca jeszcze w tamte strony? — pytał z niepokojem pan Kaliński.

— Nie, panie, sprzedałem dość korzystnie moją fermę i nie rozpoczynałbym już podobnej pracy, to strasznie ciężka praca — odpowiedział pan Osiński — na stare lata chce wrócić do swoich do rodziny.

— A więc wszystko stracone! — szepnął pan Kaliński, załamując ręce.

— No, uspokój się pan — rzekł kapitan — może się znajdzie jeszcze jaki sposób dowiedzenia się czegoś więcej.

— Dziwna rzecz, jeśli żyje, że nie odezwał się na te ogłoszenia w gazetach — rzekł pan Kaliński.

— W gazetach? — powtórzył pan Osiński — albo pan myśli, że osadnicy czytują gazety? A skądby ich wzięli? Gazety nie dochodzą na takie pustkowia.

— Cóż więc czynić?

— Najlepiej napisać do jakiejś władzy w tym miasteczku, o którym wspominałem, i prosić aby zawiadomiono Drzewińskiego, że poszukuje go rodzina i że skoro da o sobie wiadomość pod takim a takim adresem, otrzyma pieniądze na podróż powrotną do Europy. Ja panu zostawię dokładny adres tego miasteczka. Sądzę, że to będzie sposób najlepszy dowiedzenia się prawdy.

Mówiąc to, pan Osiński wyjął ołówek, aby napisać adres miejscowości.

Pan Kaliński podziękował mu serdecznie, jak również kapitanowi. Tego ostatniego prosił, aby mu dopomógł przy wysłaniu urzędowej prośby do mera tego miasteczka, które wymienił p. Osiński.

— Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, aby odszukać Drzewińskiego — rzekł w kilka dni później pan Kaliński do kapitana — może też Bóg da, że starania moje pomyśląm uwieńczone zostaną skutkiem.

— Być może — odpowiedział kapitan — ale w każdym razie musi pan być jeszcze cierpliwym parę tygodni.

— Zwłoka ta bardzo mnie martwi, chciałbym jak najprędzej wracać do kraju; już i mój chłopiec tęskni za krajem.

— Bardzo panu wierzę, ale skoro napisałeś pan, aby Drzewiński zgłosił się do Marsylii, to już musisz czekać tutaj.

— Zapewne — potwierdził pan Kaliński — ale nie mówiłem panu jeszcze, że wczoraj otrzymałem list od babki mojego wychowanka.

— I cóż ona pisze?

— Że nadszedł znowu jakiś list z Berlina pod adresem Drzewińskiego. Otóż babcia Jasia zapytuje, czy ma przysłać ten list do Marsylii, czy też zatrzymać go do mojego powrotu? Naturalnie odpisałem, aby mi go zaraz przysłała; domyślałem się, że list jest od bankiera w kwestyi tych pieniędzy, o których już panu opowiadałem.

— Tak, przypominam sobie.

— Boję się, czy to znów nie jakiś nowy podstęp tego Kincła...

— To bardzo prawdopodobne — potwierdził kapitan.

W kilka dni po przytoczonej powyżej rozmowie pan Kaliński odebrał list od dziadków Jasia.

Dowiedział się z niego, że Kincel był u staruszków i namawiał ich, aby mu oddali Jasia na wychowanie, a zarazem poszukali, czy w papierach pozostałych po Drzewińskim nie ma czasami jakiego biletu loteryjnego. Staruszkowie odprawili z niczem natręta, postanawiając donieść o wszystkim panu Drzewińskiemu.

Uspokojony tą wiadomością, pan Kaliński wybrał się z Jassem na przechadzkę. Chłopczyk najlepiej lubił przebywać nad morzem, to też i dziś skierowali się na wybrzeże. Wyszli po za

miasto; zmrok zapadał, w porcie zaczęto zapalać latarnie, w mieście także zapłonęły światła, co przedstawiało widok bardzo piękny. Miejsce w którym się obecnie znajdowali, puste było i mało uczęszczane, tak, że prawie nikogo nie zauważyli na wybrzeżu. Wtem z poza odłamu skały wysunęła się jakaś postać ludzka, którą trudno było rozpoznać z powodu zupełnego już zmroku. Po stać owa, ujrawszy pana Kalińskiego i Jasia, cofnęła się szybko po za głązy, które ją całkiem osłaniały.

Jasio, przestraszony, przytulił się do swego opiekuna, szepcząc:

— To Kincel!... to z pewnością Kincel!

— Ale skądże ci to przyszło do głowy? — również cicho zapytał pan Kaliński.

Ujął mocniej chłopca za rękę i przyspieszył kroku, aby minąć owego podejrzanego człowieka.

Wkrótce atoli przekonali się, że ową podejrzaną osobą był niewinny jakiś i wielce bojaźliwy przechodzień, który nawzajem zląkł się pana Kalińskiego i Jasia; obaj naśmiali się ze swego urojonego przestachu.

— W każdym razie lepiej nie wychodzić tak późno za miasto — dodał pan Kaliński.

Ciągle podróże i zmiana miejsca nie dozwalały na systematyczną naukę w wychowaniu Jasia. Pomimo to, chłopczyk w językach obcych skorzystał dużo; francuskim władał już wcale nieźle, po włosku, a nawet po czesku jako tako mógł się rozmówić.

Chłopczyk, z natury chętny do pracy, uczył się o ile mógł, korzystając ze światłych wskazówek swego opiekuna.

Pewnego dnia, gdy Jasio siedział przy stole, pochylony nad mapą, przyniesiono sporą paczkę z poczty. Pan Kaliński pokwitował z odbioru i rozzerwał z bijącym sercem kopertę, zaopatrzoną w marki i stemple amerykańskie.

Przez chwilę nie miał odwagi czytać i zapytywał serą w duchu, co też ten urzędowy dokument mu przyniesie: radość, czy smutek? Nie chciał się zdradzić ze wzruszeniem przed swym wychowankiem, spojrzał więc na chłopca. Jasio pilnie zajęty był nauką geografii.

Po przeczytaniu otrzymanych papierów pan Kaliński złożył wolno papier i szepnął, jakby do siebie.

— No, tego się nie spodziewałem... Co teraz zrobić?

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Zajęcze serce.

Na wyspie, w pośrodku Wisły, stał wielki zamek przed laty, cały murem otoczony; w każdym rogu grube baszty; wlewały na nich gęsto chorągwie, i gęste strażę poustawiane. Most skórzany na łańcuchach, łączył wyspę z brzegiem ziemi.

W tym zamku mieszkał pan możny, rycerz bitny, zawołany. Ile razy trąbka brzmiała nad wchodową bramą zamku, zwiastowała powrót pana, zwycięstwo i łup bogaty.

Po długich i ciemnych lochach wiele brańców osadzono. Codziennie musieli robić: to naprawiać mury grube, to uprawiać piękny ogród. Między tym była baba, stara baba czarownica, której męża trzymał w więzach: ta się zemścić zaprzysięgła.

Czatowała przeto chwili, by samego spotkać pana. Strudzony walką, niewczasem, na zielonej upadł trawie: sen zakleił mu powieki. Skrycie czai czarownica, mak na oczy panu kładzie, by się ze snu nieobudził, i gałązką osikową w pierś uderza, a w tę stronę, kędy serce ludzkie bije.

I pierś się zaraz rozwarła, i czerwone widać serce, jak drga ciągle i ustawicznie. Uśmiecha się czarownica i wyciąga rękę chudą, długimi palcami z lekka obejmuje całe serce, i tak nieznacznie wyciąga, że się rycerz nie obudził.

Wtedy mając w pogotowiu świeże od zajęcia serce, w pierś rycerza zaraz wkłada, i zamyka utwór piersi. Sama odeszła na stronę, z radością w gestych krzakach przyległa, chcąc zobaczyć skutki czarów.

Jeszcze się rycerz nie zbudził, a poczuł serce zajęcze! Co nieznal trwogi, drżał bojaźliwie, i rzucił ciałem! Otwiera oczy; zbroja mu ciężka; zaledwie powstał, aż usłyszy psów szczekanie!

Dawniej lubił kiedy gończe grały w kniei za zwierzyzną, teraz w trwodze wystraszony, ucieka jak szary zajac! Zaledwo wbiegł do komnaty, chrzest zbroi własnej, oreża co się zaszczerbił zwycięstwami, i brzęk srebrnej ostrogi na nowo go trwoży: zrzuca więc pancerz i szablę, pada na łóżko zmęczony.

Dawniej we śnie marzył jeno to o bójce, to o łupach: teraz we śnie jęczy smutnie, i na każde psa szczekanie albo hasło swojej straży, co przy ognisku na baszcie, czujnie strzegła przed napadem, drży jak dziecko, i w poduszkę chowa oczy wystraszone.

Wkrótce poganie otoczyli zamek: rycerze i czeladź czeka na pana, co im przewodził do bitwy i do zwycięstwa. Ale czekają na próżno! On mężny rycerz, usłyszawszy szczęk oreża, gwar żołnierzy, rżenie koni, uciekł na zamku poddasze, i ztąd dopiero dojrzał mnogie pogańskie zastępy.

Wtedy przypomniał sobie dawne wyprawy, zwycięstwa, i sławę imienia swego. Jak bóbr zapłakał rzewnymi łzami, westchnął, i mówi żałośnie:

— „Boże mój, Boże! daj mi odwagę, przywróć mi siłę i męstwo! Sztandary moje na polu bitwy już powiewają od dawna; a pan ich, dawniej zawsze na czele, dziś jak dziewcze bojaźliwy, z dymnika swojego zamku, patrzy na zastępy swoje! Wróć mi serce, by nie drżało — wróć mi siłę, abym zbroję mógł udźwignąć! Odtwórz ciało czerstwością i daj zwycięstwo.“

Wspomnienia te budzą go jak ze snu: wraca spiesząc do komnaty, chwytając zbroję, dosiada rumaka i wyjeżdża przez bramę. Strażnik z radością powitał pana, i brzmieniem trąby zapowiedział jego wyjazd. Spieszy; lecz ciągną bojaźń myśl mu i serce osiadła. A gdy rycerstwo odważnie rzuca się na zastęp pogan, pan zamku w trwodze, zawraca swego bieguna, i ucieka w gród warowny.

Choć wbiegł do zamku zdyszany, i za grubymi murami niepozbył trwogi tajemnej; skacze z konia, ucieka do żelaznego lochu, i tam omglany czeka niesławnej śmierci.

Rycerstwo jego przecież pobili pogan, a strażnik z wysokiej baszty, powitał zwycięskie chorągwie wracające do zamku. Wszyscy zdziwieni haniebną ucieczką pana zamku, szukali go długo napróżno, i znaleźli w lochu na pół umarłego.

Niedługo żył nieszczęśliwy rycerz: całą zimę grzał ciało drżące zawsze przy kominie. Wiosna nastąpiła; roztworzył okno, chcąc edetchnąć słońcem maja. Jaskółka, co nad poddaszem ulepiła gniazdko swoje, w przelocie czarniawem skrzydłem uderzyła go po skroni.

Cios był dla niego śmiertelny, upadł jak gromem rażony, i po krótkiej męce skonał.

Wszyscy pana żalowali i szczerze płakali, niewiedząc powodu, co potrafiło go tak nagle zmienić. Aż w rok potem, gdy pławiono czarownicę, że deszcz długo zatrzymały; ona czarownica zeznała sama, jak odmierzała serce rycerza na serce zajęcze! — Wtedy poznali dopiero ludzi, dla czego z tak męznego rycerza tak bojaźliwy się zrobił; szczerzej żalowali i więcej płakali, a na jego mogile spalili żywcem starą czarownicę.



Piosenka.

I porwała się piosenka z zagona,
I przypadła do piersi mej drżąca,
W koszulinę zgrzebrą obleczone,
Usiebrzona blaskami miesiąca,
Z modrych kwiatków u czoła ozdoba,
I prosiła, bym zabrał ją z sobą.

Więc ją wziąłem na struny swej geśli,
Z modrych kwiatków koroną na czołe,
Z popod słońca, co złotą nić prześli,
W świat szeroki! na dole! niedole!
Brałem oną piosenkę prostaczą
Na wędrowkę przez życie tulaczą!

Wziąłem śpiewkę, wyrosłą na łąnie,
Jak siostrzycę przyjąłem ją mleczną.
By mi była na wielkie kochanie,
By mi była na troskę serdeczną,
By mi była na chleba kęs czarny
I na płomień — gdy trzeba — ofiarny!

Wiernie służy piosenka nieboże,
Kocha, szłocha, i żywi, i grzeje —
To w nadzieje wyzłaca myśl zorze,
To niekiedy przez łzy się rozśmieję,
Jeno czasem tęsknimy, ja, ona,
Do polnego za miedzą zagona!

Jeno czasem wyrывa się dusza,
Kiedy skiba zapachnie orana,
Miedzy chaty, co z lip i ioropusza
Pobratymczem wołają: oj dana!
Czasem tylko w ślad nuty-zgrzebnięty
Ciche, szczere łzy płyną z źrenicy!

El. (K. Laskowski).

Ł A M I G Ł O W K I,

I.

Z następujących liter ułożyć 7 wyrazów takich, żeby początkowe litery czytane z góry na dół, dały imię męskie, a końcowe, czytane z dołu do góry imię żeńskie.

a, a, a, a, a, a, a, a, a, b, b, b, b, b, d, d, e, e,
g, m, n, n, n, o, o, o, o, r, r, r, r, r, t, u, u,
w, w.

- 1) Doktor kościoła.
- 2) Imię męskie.
- 3) Miasto w król. Polskiem.
- 4) Sławny bogacz.
- 5) Rzeka w Azji.
- 6) Inaczej praca.
- 7) Drzewo.